

dr hab. Dariusz Vasina
Akademia Sztuk Pięknych
w Krakowie
31-157 Kraków
pl. Matejki 13

Kraków, 02.04.2022

Recenzja sporządzona w związku z postępowaniem w sprawie nadania stopnia doktora mgr Maciejowi Cholewie wszczętym w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w dn. 05 grudnia 2019 r. w dziedzinie sztuki, w dyscyplinie artystycznej: sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki.

Touché

Do Andrzeja Bursy, poety

Szanowny Panie,

Chciałbym się zwrócić do pana w sprawie pana wiersza, p.t. „Sobota”, a właściwie jego ostatnich trzech wersów, których dosłownie nie zacytuję, albowiem nie chciałbym zakłócić powagi posiedzenia obrony doktorskiej. W skrócie powtarza pan w tym wierszu po trzykroć, że delikatnie mówiąc ma pan małe miasteczka w głębokim poważaniu i że pana wcale, ale to wcale nie interesują. Pamiętam, że pana wiersz, nie był może wiodącym głosem pokolenia, lecz stał się dość popularny i na pewno w jakiś sposób stał się czynnikiem opiniotwórczym mającym wpływ na postrzeganie małych miejscowości a także pochodzących z nich osób. Ten obraz niedużych miejscowości kładący się cieniem na młodych ludziach, którzy z nich pochodzą spowodował, zapewne niechcący utrwalenie się powszechnej opinii o małych miastach jako o miejscu pochodzenia, którego trzeba się wstydić, które szybko należy wymazać z pamięci i z życiorysu. Jako dowód mogę przywołać historię jaką opowiedział mi jeden z moich młodszych kolegów, mieszkający w małej miejscowości Żytno. Opowiadając mi o swej wystawie w Zachęcie wspomniał o zabawnej sytuacji, gdzie od osoby przeprowadzającej z nim wywiad na potrzeby promocji wyżej wymienionej wystawy jako pierwsze usłyszał następujące pytanie:

- Jak to jest pochodzić z Żytna i mieć wystawę w Zachęcie?

Nie oceniając intencji jakie miał autor pytania musimy jednak stwierdzić, iż pytanie jest zadane z wyższością i co najmniej złośliwie.

Otóż pozwalam sobie pisać do pana w sprawie małych miasteczek gdyż właśnie teraz, z racji funkcji recenzenta jaką mam zaszczyt pełnić spotkałem się z twórczością utalentowanego młodego człowieka, pana Macieja Cholewy, twórczością która może być właściwą, adekwatną odpowiedzią na pana wiersz p.t. „Sobota”, odpowiedzią którą brakowało mojemu pokoleniu. Pan Maciej Cholewa jest artystą, lecz jego sposób narracji, podejścia do świata,

refleksji, sposób komentowania rzeczywistości swobodnie można by nazwać poetyckim co może być dla pana, panie Andrzeju szczególnie interesujące.

Mógłbym tu przytoczyć parę obiegowych powiedzeń jak:

„Trafiła kosa na kamień”, czy „Trafił swój na swego”, lecz jestem pewien, że nie ma tu wątpliwości, wreszcie wiersz pana, a szczególnie jego trzy ostatnie wersy trafiły na odpowiedź godną, wyrażoną przez godnego przeciwnika.

Ale zacznijmy od początku.

Wyższościowa, skrajnie oceniająca pogardliwa teza, choć przedstawiona z niewątpliwą dozą poczucia humoru, zawarta w ostatnich trzech wersach wiersza pana nigdy nie była mi bliska, choć muszę ze wstydem przyznać, że w czasach studenckich ten wiersz nas rozśmieszał. Podobnie jak pan urodziłem się i całe moje dotychczasowe życie spędziłem w mieście Krakowie. Gdy miałem cztery lata mieszkaliśmy z rodzicami i babcią, w sercu dzielnicy Kazimierz, przy ulicy Krakowskiej, blisko placu Wolnica. Co jakiś czas rodzice wysyłali mnie po lody do pobliskiej cukierni na ulicy Skafecznej, cukierni, która już dawno nie istnieje. Pamiętam, że kupowałem głównie pistacjowe o seledynowym kolorze, o smaku który kochaliśmy, lecz który w żaden sposób nie przypominał smaku orzechów pistacjowych. Dostawałem dziwny, futurystyczny, srebrny, karbowany termos z plastikową nakrętką i maszerowałem z nim przechodząc najpierw na przejściu przez Krakowską, potem jakieś 20 metrów do cukierni po lody i z powrotem, bacznie obserwowany z drugiej strony ulicy przez moich bliskich czego oczywiście z przejścia nie zauważałem. Jeśli chodzi o kierunek południowy, mój świat kończył się na ogrodach obok kościoła św.Katarzyny, a także na przedszkolu które znajdowało się przy ulicy Piekarskiej, tuż przed Wałami Wiślanymi. Była tam na pewno garkuchnia, dom dziecka no i chyba piekarnia, przecież na Piekarskiej musiała być piekarnia., Na wschodzie granicą była ulica Dietla, gdzie znajdował się zakład fryzjerski dla dzieci którego się bałem, ale też budził moją fascynację poprzez fantastyczną kratę z motywem małych rycerzy jadących na koniach na biegunach i gigantyczne (przynajmniej tak je zapamiętałem) akwarium z rybami. Na zachodzie nie poruszałem się dalej niż za ratusz, przy pl. Wolnica, dalej był kościół strzegący dostępu do fantastycznego mostu, wtedy im. Tadeusza Kościuszki, za Wisłą był inny nieznaną świat który nazywał się Podgórze. Na północ jakoś poruszałem się dość rzadko, tam rozciągała się niebezpieczna część Kazimierza zwana Małym Meksykiem. Granicą dla mnie w tamtym kierunku był majestatyczny kościół Bożego Ciała.

Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, z okna którego lubiłem bardzo gapić się na tramwaje. Nad nami mieszkała mała pani Siatkowa ze swoim wrednym, złośliwym pupilem wyglądającym jak owłosiona mortadela, pod nami był sklep z galanterią prowadzony przez moją babcię a w nim czerwona blaszana puszcza dla biednych dzieci, do której umiejętnie namówieni przez moją babcię klienci wrzucali drobniaki. Obok był zakład fryzjerski z zapachem, którego nie znosiłem i fryzjer z wąsikami, który jak pamiętam ostrzył brzytwę na skórzanym pasku zaczepionym o klamkę na drzwiach.

To był mój mały świat, moje małe miasteczko. Czułem się w nim bezpiecznie, znałem wszystkich, czas płynął swoim własnym, właściwym tempem. Później, gdziekolwiek nie zamieszkałem ten proces osvajania, wyznaczania własnego zaprzyjaźnionego miejsca się powtarzał, zawsze tworzyłem sobie coś na kształt małego miasteczka, niewielkie oswojone terytorium, w którym czułem się bezpiecznie. Może chodzi o geny? Mój dziadek pochodził z Prerova, małego miasteczka na Morawach.

A może małomiasteczkowość jest stanem umysłu, rodzajem mentalności.

Powyższy opis nie jest próbą przebrania się w małomiasteczkową szatę, nie jest próbą odegrania roli mieszczańskiego poety Rydla chodzącego w ludowym kontuszu, boso, po trawie, wszak całe moje życie jest związane z miastem nieco większym od małego-Krakowem, choć paradoksalnie, właśnie w Krakowie najbardziej lubię jego prowincjonalność. Muszę także przyznać, że przez 14 lat mieszkałem w 30 tysięcznej Skawinie i nigdy nie udało mi się wniknąć w strukturę tego miasteczka i pod względem mentalnym i towarzyskim. Choć kochałem to miejsce, zawsze byłem tam obcy, lub też nie potrafiłem swej obcości się pozbyć.

Pan Maciej Cholewa jest Obywatelem Małego Miasta z krwi i kości. Urodził się i większość swego życia spędził w niespełna 17-tysięcznym Radzionkowie. To ważne, bo wie co robi, o czym pisze i mówi. Jego praca doktorska nie jest naukową rozprawą pisaną z dystansu, to część jego tożsamości, to część jego życia.

W skład pracy doktorskiej pana Cholewy wchodzi następujące elementy, które poniżej postaram się panu pokrótce przybliżyć: esej, wideo p.t. „Radzionków odzyskuje dostęp do morza”, zaprojektowane i zrealizowane furtki, czapka- obiekt oryginalny, portret doktoranta wykonany przez Janusza Mieszka, rysunki- projekty witaczy gminnych oraz konto Instagramowe „Pozdrowienia z małego miasta” wraz z serią obiektów i fotografii przedstawiających wybrane posty z wyżej wymienionego konta.

Muszę panu powiedzieć, że esej jest wspaniały. Czyta się go znakomicie jest pełen faktów, konkretnych odniesień do kultury, lecz także pełen przemyśleń, logicznych wniosków oraz poczucia humoru jak chociażby w jednym z moich ulubionych fragmentów opisujących sprawozdanie z badań terenowych, gdzie autor wspomina, że spotkał dwie osoby: drewnianą figurę przedstawiającą nieokreślonego świętego oraz elegancko ubranego mężczyznę w średnim wieku.

Esej zawiera dużą dawkę wiedzy dotyczącej tematu, lecz także opis metod poznawczych stosowanych przez pana Cholewę przy pracy. Jako dominującą metodę przytacza autor metodę dryfu opisaną przez sytuacjonistę Deborda. Sytuacjonista Debord dryf opisał i nazwał, lecz przecież nie wymyślił- forma uważnej włóczędzy miejskiej istnieje od dawna. Zabawne też dla mnie, zapalonego wagabondy, że jakby to ująć, nie wiedziałem, że oprócz flanerowania także dryfowałem.

Flanerowanie i dryfowanie myślą mi się, czasem wydaje mi się, że dryf przechodzi we flaneur i odwrotnie. Refleksyjna włóczędga miejska jest dla mnie bardzo istotną częścią życia artystycznego i życia w ogóle. Czasem sobie myślę, że jest to najbardziej kreatywna z moich artystycznych aktywności.

Forma eseju jest urozmaicona przez cyklicznie pojawiające się relacje i refleksje z oglądania teledysku Andrzeja Zauchy, p.t. „C'est la vie”.

Teledysk pamiętam z okresu studenckiego, nie wzbudzał naszego entuzjazmu, jest nudny jak „flaki z olejem” i raczej nie mógłby być odbierany n.p. w charakterze filmu promocyjnego miasta Niepołomice. Już pierwsza scena wjazdu autobusu na Niepołomicki rynek, który wygląda jak plaster sera szwajcarskiego wykonany z błota powoduję, że trzy ostatnie wersy pana wiersza p.t. „Sobota” zaczynają mi brzmieć w głowie i trudno mi je odgonić. Pan Cholewa jednak umiejętnie znajduje odpowiednie momenty, kadry i ujęcia i używa ich jako argumenty w swej rozprawie. Zabawne też, że Zaucha w swym niepołomickim flanerowaniu teledyskowym spotyka elegancko ubranego mężczyznę i księdza, podobnie jak Maciej Cholewa w swym dryfie spotyka też elegancko ubranego mężczyznę i nomen omen zamiast

księdza drewnianą figurę świętego która właściwie mogłaby być artystyczną wariacją na temat księdza.

Wideo p.t. „Radzionków odzyskuje dostęp do morza” to zapis akcji artystycznej której geneza tkwi w historii związanej z MS Radzionków, statkiem drobnicowym przewożącym miął i węgiel z okolicznych kopalni. Film jest zapisem akcji a jednocześnie rodzajem poetyckiej etiudy. Niezwykle zabawne wydaje mi się to, że statek, którym poruszają się ludzie w tym filmie porusza się przy pomocy ludzi, więc jeśli mówimy, że ludzie poruszają się statkiem to w tym wypadku można by rzec statek porusza się ludźmi. Film jest i poważny, śmieszny i wzruszający. Jego pure nonsensowny humor nasuwa mi skojarzenia z filmami Quentina Dupieux a także może głównie, poprzez dwie osoby niosące makietę statku niczym mebel przywołuje film etiudę Romana Polańskiego p.t. „Dwóch ludzi z szafą”. I tu i tam króluje poetyckość, i tu, i tam motyw morza na początku i na końcu spina film niczym kłamra.

Furtkom pana Cholewy nic nie można zarzucić. Są wykonane profesjonalnie, stylistycznie spójne, ich pomysły są zabawne może czasem zbyt oczywiste w stosunku do tytułu, rysunek projektu furtki, przeniesiony w formie metaloplastyki jest właściwie perfekcyjny. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że pomysł, aby wykonać projekty furtek, skoro ich motyw pojawia się chociażby w dokumentacji fotograficznej zawartej na Instagramowym koncie jest właśnie pomysłem oczywistym, a sam autor, mimo, że spełnia absolutnie warunki bycia tubylcom majsterkowiczem po prostu za dużo umie i za dużo wie. Brakuje mi w tych furtkach koślawości, naiwności, plastycznej amatorszczyzny i elementu zaskoczenia. Z drugiej jednak strony trudno wymagać od autora by udawał, że nie umie rysować. Przypominałoby to sytuacje, na które czasem można natrafić, gdy artysta profesjonalny, z dyplomem wykonuje swoje prace usiłując naśladować sposób rysowania dziecka, lub naiwnego artysty amatora. Oczywiście tu o naśladownictwie nie ma mowy, autor wyraźnie wspomina o inspiracji.

Szczególnie polecam panu, panie Andrzeju cykl rysunków przedstawiających tzw. Witacze gminne. Witacz gminny to elementy małej architektury, czasem szyld, czasem forma przestrzenna, ustawiane przy głównych drogach wjazdowych mają na celu uwydatnić odwiedzającym bądź przejeżdżającym w skrótowej formie jak najbardziej pozytywne cechy właśnie napotkanej miejscowości. Pan Maciej Cholewa wykorzystał formę witaczy do zmierzenia się z różnymi obiegowymi, niesprawiedliwymi opiniami o małych miejscowościach i wykonał serię rysunków przedstawiających witacze dla gmin niegościnnych. Muszę też powiedzieć, że pan panie Andrzeju dołożył swoje trzy grosze, swoim wierszem i jego trzema wersami do tych opinii i utrwalił je chcący czy też niechcący, mniejsza o to, w każdym razie ten cykl rysunków, szczególnie panu polecam i muszę dodać, iż szalenie mi się podoba. Ma w sobie oryginalny pomysł, w którym gorzyc miesza się z dużą dawką humoru, co świadczy, że autor odnosi się do całej sytuacji z dystansem i urazy wielkiej między innymi do pana nie żywi.

Mam też wrażenie, że moglibyśmy pokusić się o wyobrażenie pewnego rodzaju dialogu, gdzie jeden z witaczy jest odpowiedzią na deklarację zawartą w trzech ostatnich wersach pana wiersza, lecz nie przytoczę tego dialogu dosłownie, albowiem i tak cały czas drzę czy pana wiersz nie spowoduje, że komisja mnie z obrony za wulgaryzmy wyprosi.

Portret obserwatora, wykonany na zamówienie pana Cholewy przez Janusza Meszka i włączony w poczet prac wchodzących w skład doktoratu wydaje się być zabiegiem w

kontekście projektu bardzo interesującym. Już samo to, że rzeźbę wykonał kto inny, nie doktorant jest zabawne. Przypomina mi to historię malarza o nazwisku Costabi, który swoje obrazy wymyślał, po czym realizowali je zatrudnieni przez niego wyrobnicy którym opowiadał, jak obraz ma wyglądać. On podpisywał je swoim nazwiskiem i cała sytuacja skutkowałą popularnością i sukcesem finansowym artysty autora konceptu. Tu oczywiście jest inaczej. Doktorant niczego na artyście nie wymusza, niczego od niego nie wymaga. Powierzenie wykonania własnego portretu artyście niewykształconemu artystycznie i włączenie go do doktoratu widzi mi się figurą bardzo spójną z tematem. Jest też w tym geście Macieja Cholewy coś wzruszającego. Jakiś rodzaj braterstwa, więzi między artystami bez względu na to czy mają dyplom ukończenia wyższej plastycznej uczelni czy nie, między ludźmi, dla których Sztuka jest ważna. Jest to też jakiś bezwarunkowy akt wiary w przewodni temat doktoratu, który mógłby brzmieć: - Artysta z małego miasta, jego praca jest tak samo ważna jak moja. Nie mówiąc oczywiście o więzi między mieszkańcami małych miejscowości no i oczywiście szczypcie narcyzmu doktoranta. Nota bene ten kapitalny styropianowy portret przedstawiający pana Cholewę widziałbym z powodzeniem na jakimś ważnym Biennale Sztuki Współczesnej bądź co najmniej we wziętej, wiodącej galerii.

W sentencji „Make Radzionków great again” która jest umieszczona na czerwonej czapce nawiązującej do czapki używanej przez wyborców Donalda Trumpa jest dawka humoru i jednocześnie coś nostalgicznego. Humor, bo właściwie, gdyby się zastanowić to czy Radzionków był kiedyś great? Być może popełniam tu poważną gafę, bo był. Jeśli jednak nie, to ciepło myślę sobie o tej marzycielskiej intencji autora. Słowo great w języku angielskim oznacza wspianały, ale równocześnie wielki, co w odniesieniu do rzeczywistej wielkości Radzionkowa jest też zabawną grą słów. Muszę jednak przyznać i pewno ta opinia nie jest oryginalna, że nie mogę się pozbyć tej trumpowatości, ona mnie mierzi, brzydko mi pachnie, bez względu na fajny pomysł i czyste intencje.

Jeśli miałbym panu, panie Andrzeju w dwu słowach wyjaśnić co to jest Instagram, a to ważne w kontekście kolejnej realizacji, to jest to takie miejsce do chwalenia się i pokazywania, czasem wykorzystywane do archiwizacji czy dokumentowania. Czasem te czynności odbywają się osobno, nieraz się ze sobą łączą.

Niezaprzeczalne plusy tego projektu to jak sam autor pisze w swym eseju uzyskanie interesujących danych statystycznych oraz nawiązanie wielu ciekawych znajomości z osobami posiadającymi podobne zainteresowania, bądź chcącymi o projekcie podyskutować. Konto na Instagramie o nazwie „Pozdrowienia z małego miasta” stało się dla pana Macieja Cholewy miejscem do zaprezentowania materiału wizualnego zawierającego ponad 2000 zdjęć robionych w różnych lokacjach. Zdjęcia nie są stricte dokumentalne, są kreatywne i subiektywne, lecz w każdym wypadku autor dbał o to, aby kreacja i subiektywizm spojrzenia nie przystaniały oryginalnego charakteru obiektu czy miejsca.

Zdjęcia ogląda się wybornie. Ich wizualna strona to dowód nie zwykłą pomysłowość autorów wszelkiego rodzaju dzieł i artefaktów, pean na temat małomiasteczkowej kreatywności. To także po raz kolejny dowód na kreatywność doktoranta, jego spostrzegawczość i poczucie humoru.

Do moich ulubionych przedstawień należą: nie, nie jestem w stanie wybrać ulubionych, ilekroć próbuje to podobają mi się wszystkie. Niektóre ze względu na niezwykłą formę

plastyczną, inne przez kontekst literacki lub błędy ortograficzne czy gramatyczne przedstawionych napisów, nazw i informacji. Cudowne są wszelkiego rodzaju blaszane, drewniane, żywopłocie miki mausy, dinozaury, roboty, stwory, rycerze, dziwaczna, fantastyczna architektura. Nie sposób nie zachwycić się przydrożnymi tablicami informacyjnymi umieszczanymi na początku i końcu miejscowości takimi jak miłość, koniec miłości, nędza, koniec nędzy, postęp koniec postępu. Czy to znaczy, że jak wyjedziemy z miejscowości Miłość to już nigdy nie zaznamy miłości? Jak wyjedziemy z miejscowości Nędza, to już zawsze będziemy bogaci?

Wiele miejsc i rzeczy jest uatrakcyjnionych poprzez destrukcję, upływ czasu, rdzę, czy łuszczącą się farbę. Niektóre miejsca stają się atrakcją poprzez niezauważony, niezamierzony kontekst. Pozbywają się dzięki niemu pompatyczności, nadęcia, powagi, paradoksalnie stają się prawdziwe. Mimo iż zdaję sobie sprawę, że to co dla osób z wykształceniem plastycznym jest interesującą formą, dla mieszkańców małych miast będzie np. tylko obdrapaną, zardzewiałą bramą. Mam też świadomość, że architektura, obiekty i rzeczy przedstawione na zdjęciach podobają się nam i tubylcom często z różnych powodów. Jak dla mnie nie umniejsza to w żaden sposób bogactwa tego świata przedstawionego na zdjęciach.

Nie będę już pana, panie Andrzeju dłużej męczył, nie wiem w jakiej pan jest kondycji, czy siedzi pan w kotle pełnym smoły, czy chodzi pan w białych szatach machając liściem palmowym, śpiewając wysoko: - „Gloria in excelsis deo”.

W ramach pojednania między panem a doktorantem chciałbym wspomnieć wypowiedź niejakiego Petera M. w którego pracowni w Nowym Yorku mieszkałem ze trzy noce, mniej, więcej 20 lat temu.

Gdy padając ze zmęczenia i głodu po czterech dniach samotnej włóczęgi po Nowym Yorku odmówiłem pójścia z nim i jego ówczesną partnerką, osobą emocjonalnie stabilną inaczej na poczęstunek alkoholowy oraz tańce, Peter zwracając się do nie na żarty wściekłej i zawiedzionej dziewczyny odezwał się w te słowa:

- Listen, Darek lives in Kraków, he is just smalltown boy who is overwhelmed by a Big City.

Co w wolnym tłumaczeniu brzmi:

- Nie przejmuj się kochanie, Darek to prowincjusz z małej miejsciny, która nazywa się Kraków. Nowy York go przytłoczył.

Pozwoliłem sobie przytoczyć panu ten cytat, szczególnie gdyż jak już wspomniałem pan i ja jesteśmy z Krakowa a ten cytat nie da się ukryć Krakowa i naszej z nim relacji dotyczy.

Podsumowując, nie muszę chyba dodawać, że przedstawione powyżej fakty są dla pana wiersza miażdżące i za drugim razem dwa razy się pan zastanowi, zanim popełni wiersz typu „Sobota”. Jeśli oczywiście tam, gdzie pan jest teraz pisanie wierszy jest w ogóle możliwe. Ze swej strony chciałbym podkreślić swoją niezwykle pozytywną opinie o pracy doktorskiej pana Macieja Cholewy. Powstała praca solidnie przygotowana pod każdym względem, świetna artystycznie i merytorycznie, pomysłowa, z elementami humoru, podparta bogatą warstwą bibliograficzną.

Na koniec z racji tego, że list do pana jest jednocześnie recenzją pracy doktorskiej Pana Macieja Cholewy i odwrotnie, jestem zobowiązany do zamieszczenia następującej formuły, którą zapisuję z wielką przyjemnością:

Uwzględniając dorobek artystyczny oraz oryginalność projektu doktorskiego mgr Macieja Cholewy stwierdzam, że praca doktorska spełnia wymogi określone **w art. 187 ustawy** z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (tekst jedn. Dz.U. 2022 poz. 574 z

późn. zm.) i popieram wniosek o nadanie mgr Maciejowi Cholewie stopnia doktora w dziedzinie sztuki, w dyscyplinie artystycznej: sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki.

Łączę wyrazy szacunku
dr hab. Dariusz Vasina

